

Dwie Ameryki Tyrmanda [FELIETON]

Mało kto słyszał o ostatnich 20 latach życia Leopolda Tyrmanda, po jego wyjeździe do USA, w przeciwieństwie do powszechnie znanych losów Jana Kotta, który za ocean wyjechał dokładnie w tym samym czasie, by w popularnym mniemaniu stać się ikoną polskiego sukcesu za granicą. Czy z tego porównania losów coś dla nas dzisiaj wynika? – pyta Mateusz Werner w felietonie z cyklu „Esprit d'escalier”.

„Złego” czytali wszyscy. Wszyscy też wiedzą, że jego autor gustował w bikiniarskich krawatach, krzykliwych skarpetkach i notorycznie podrywał młode dziewczęta w oparach jazzu, którego był nad Wisłą samozwańczym ambasadorem. Mało kto jednak słyszał o ostatnich 20 latach życia Leopolda Tyrmanda, po jego wyjeździe do USA, w przeciwieństwie do powszechnie znanych losów Jana Kotta, który za ocean wyjechał dokładnie w tym samym czasie, by w popularnym mniemaniu stać się ikoną polskiego sukcesu za granicą, gdzieś obok Miłosza i Kołakowskiego. Czy z tego porównania losów coś dla nas dzisiaj wynika?

*Kiedy Tyrmand stawiał stopę
na Manhattanie, Ameryka
gotowała się już do rewolucji*

Każdy, kto pamięta z
jaką rozkoszą Filip
Merynos zaciągał się
kolejnym Pall
Mallem i z jaką dumą
Tyrmand

zamieszkiwał pokój w budynku przedwojennej YMCA, jest w stanie sobie wyobrazić jego wzruszenie, kiedy na statku pełnym greckich emigrantów mijał Statuę Wolności, by pierwszy raz w życiu na własne oczy zobaczyć Nowy Jork. Niezliczone polemiki z marksizmem i absurdami realnego socjalizmu, te wyrażane wprost w „Dzienniku 1954” i te pisane między wierszami w powieściach, zawierały logiczne założenie, że za Atlantykiem jest kraj, do którego czerwona zaraza nie dotarła, kraj równych szans i uczciwych reguł, wolności słowa i wolności konkurencji – świat, w którym wygrywa lepszy i gdzie warto się ścigać, bo wygrana jest bardzo wysoka. To była Ameryka z twarzą „podżegaczy wojennych” – Trumana, Eisenhowera, zohydzanych w karykaturach bierutowskich propagandzistów jako następców Hitlera, ze swastyką na ramieniu, cygarem w gębie i bombą atomową pod pachą. To była Ameryka senatora Mc Carthy’ego i komisji ds. działalności antyamerykańskiej (HUAC), która wygrywała zimną wojnę i posyłała na krzesło elektryczne małżeństwo Rosenbergów.

Zamiast napisać coś lekkiego i zabawnego o „teatrze protestu” w krajach bloku sowieckiego postanowił zdemaskować znowę liberalnych mediów i kontrkulturowej rewolucji

Kiedy jednak Tyrmand stawiał stopę na Manhattanie, Ameryka gotowała się już do rewolucji. Jak wspomina Gerald Jonas, redaktor „New Yorkera”, w którym Tyrmand zamieścił

serię artykułów, jego teksty miały w zasadzie dwie główne tezy: komunizm jest ustrojem pozbawionym zalet, a Ameryka nie docenia tego, co udało się jej osiągnąć. Oba twierdzenia, jak przyznaje Jonas, przyjmowane były przez czytelników „New Yorkera” z rosnącym

zakłopotaniem, aż w końcu Tyrmandowi podziękowano za współpracę. Autor „Złego” nie dostosował się jednak do sytuacji: zamiast napisać coś lekkiego i zabawnego o „teatrze protestu” w krajach bloku sowieckiego, albo o socjalistycznym modelu emancypacji kobiet, postanowił zdemaskować zmoję liberalnych mediów i kontrkulturowej rewolucji. Jeden z jego esejów The Media Shangri-La opublikowany w „The American Scholar” zaowocował współpracą z Rockford Institute i powstaniem unikalnego projektu, czyli magazynu „Chronicles of Culture”, którego ambicją była promocja wartości konserwatywnych poprzez budowę instytucji kulturowych. Idea z ducha Gramsciego, ale przeciwko niemu odwrócona! Z inicjatywy Tyrmanda ufundowano hojną nagrodę literacką, którą w pierwszej kolejności otrzymał Jorge Luis Borges. O piśmie z uznaniem wypowiadał się Ronald Reagan a jednym z autorów był późniejszy kandydat na prezydenta Pat Buchanan. Kto wie, jak potoczyłyby się losy Tyrmanda i co byśmy o nim dzisiaj mówili, gdyby doczekał tryumfu Reagana pod Bramą Brandenburską.

Kto wie, jak potoczyłyby się losy Tyrmanda i co byśmy o nim dzisiaj mówili, gdyby doczekał tryumfu Reagana pod Bramą Brandenburską

Tymczasem Jan Kott, który jako redaktor „Kuźnicy” i publicysta dyrygował w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ideologicznym

frontem walki na polu literatury, ośmieszając Josepha Conrada jako wychowawcę pokolenia akowskiego, a później już jako „rewizjonista” odczytując dramaty szekspirowskie z perspektywy walki o władzę i leninowskiego pytania „kto kogo?” – w Ameryce końca lat 60. odnalazł się jak ryba w wodzie. Studenci z Berkeley i Stony Brook skandujący na

antywojennych mityngach imię *Ho Chi Minha*, zaczytujący się w Trockim i Mao – odnajdywali w Kotcie prawdziwego eksperta, pomagającego im w dekonstrukcji amerykańskiej mitologii. Miał w tym doświadczenie. Walcząc z Ameryką (on dodałby: konserwatywną) stał się w Ameryce gwiazdą, w przeciwieństwie do Tyrmanda, którego obronę Ameryka (on dodałby: liberalna) odrzuciła.

Przyglądając się perypetiom Tyrmanda w Ameryce myślę o Polsce i Unii Europejskiej. Czy ta historia długiej podróży wypełnionej tęsknotą i marzeniami, która skończyła się twardym lądowaniem, nie zawiera podobieństwa do polskiej akcesji i dzisiejszych konfliktów? Pytanie tylko komu dostała się w Europie rola Tyrmanda a komu Jana Kotta?

Mateusz Werner

Przeczytaj inne felietony Mateusza Wenera z cyklu „Esprit d'escalier”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

